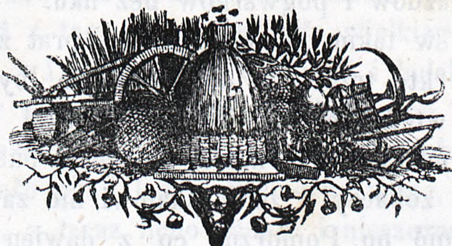
Tom III. Nr. 16.

1. Grudnia 1860.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz, drugi syn Jagiełłów,

KRÓL POLSKI.

Nie skoro uwierzą ludzie srogiemu nieszczęściu; więc też i Polacy nie chcieli wierzyć, że młodego Władysława zabili Turcy pod miastem Warną.

— Hej, hej, może jeszcze powróci — mówili sobie nasi i czekali. Aliści skoro przybyli rycerze z onej nieszczęśliwej wojny i opowiedzieli całą rzecz, jak się przytrafiła, tak też pomodlili się jeno za duszę młodego króla i wysłali panów do brata jego Kazimierza na Litwę, aby zjechał objąć rządy całej Polski.

Wymawiał się z razu Kazimierz, bo mu dobrze było między Litwinami; aleć jak zmiarkował, że to i reszta polskiej ziemi bez króla się nie obejdzie, tak też i zjechał do Krakowa, a tam mu arcybiskup włożył koronę na głowę jako polskiemu królowi.

Ledwie że Kazimierz zaczął w Polsce rządzić, aż ci się tu wzięła Litwa z Polakami swarzyć, że aż brzydko było.

Litwie się zdawało, że król dla Polaków lepszy, a owi się znowu kłócili ząb za ząb, że Kazimierz Litwinom więcej sprzyja: i ztąd też było zjazdów i pogwarków bez liku.

Aleć źle to w takim domu, gdzie się brat z bratem użera, bo jak przyjdzie kto trzeci, to obydwóch za łby weźmie. Tak się też i nam wtedy przytrafiło, bo Moskal urwał kawałek polskiej ziemi, a nikt mu za to nawet palcem w bucie nie pokiwał. Jak też Krzyżak zobaczył, że Moskalowi nic za to, więc i on zaczął sobie broić po Pomorzu, co z dawien dawna do nas należało. Uciskał i katował biednych chłopków, sprowadzał Niemców całemi gromadami i osadzał ich na zamkach i miastach, żeby też dokuczali; zgoła w piekle by już nie było gorzej, jak pod onemi krzyżackiemi rządami.

— Ha, poczekaj Krzyżaku! — pomyśleli sobie owi utrapieni ludzie — zalejemy my ci sadła za skórę!

Jakoż wysłali pędem kilku do niemieckiego cesarza prosić o pomoc i obronę od krzyżackich rycerzy.

— Dam ja wam tu skarzyć się na Krzyżaka — ozwał się ostro cesarz niemiecki — to wy sami dokazujecie, buntowniki!

Przelękli się posłowie na to groźne gadanie, a mieli też i czego, bo cesarz zamiast dopomódz, to kazał jeszcze głowy pościnać trzynastu Pomorzanom. Taka była to sprawiedliwość cesarska!

Owóż Pomorzanie pomiarkowali się po niewczasie i wysłali posłów do Kazimierza z taką gadką:

— Królu polski! Pomorze było do niedawna jeszcze polską ziemią, a teraz uciska nas Krzyżak, i znowu wydziwia, choć go ojciec twój zbił na łeb na szyję. Słaliśmy do cesarza i nie dał nam cesarz sprawiedliwości, więc ty nas ratuj miłościwy panie!

Kazimierz żenił się właśnie wtedy w Krakowie, więc też i panów było przy nim dużo. Jakoż zaczęli się wszyscy naradzać, i uradzili wojnę na Krzyżaka.

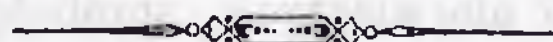
Ha, no, kiedy bić się, to bić. Wyjechało wojsko do Pomorza, i zaczęło Krzyżaka napastować; aleć nie było między wojskiem żadnego ładu, bo król sam nie był tęgi wojak, a nie znalazł się też żaden człowiek szykowny do takich rzeczy.

Więc też kto chciał, to się bił, a inny jechał do domu, i tym sposobem ciągła się ta wojna przez całe lat czternaście, a ledwo że nasi skąpy kawałek wydarli drapieżnemu Krzyżakowi.

Widno już z tego, że nie było wielkiego ładu w Polsce za Kazimierza. Ludzie stroili się, pili i hulali, a nikt się ani nie spytał, czy nie trzeba gonić Moskala albo Prusa. Na nasze nieszczęście nastało też wtedy u nas niedobre gorzałczysko. Przedtem bywało pijali ludzie kryniczną wodę, czasem piwo lub sycony miodek, a taraz licho nadało i nieszczęsną wódkę. Z początku pijali ją ludzie jako lekarstwo, i krzywili gębą, jak przyszło zażywać; aleć wnet się przyzwyczaili i nie jeden potem leżał spity jak bydle, kiedy trzeba było bronić drogiej ojczyzny od nieprzyjaciela.

Na takich to nie bardzo dobrych rzeczach zeszło lat czterdzieści i pięć, boć tak długo panował król Kazimierz, co go od ojca *Jagiellończykiem* zwali. W roku 1492 zaskoczyła go śmierć w Grodnie, właśnie kiedy jechał z Litwy do Polski.

Zostawił król ten sześciu synów po sobie, i żal a nowy kłopot dla Polski.



ŚPIEWKA

o świątobliwej pannie zakonnicy.

Hej, wojuje król Łokietek wojuje!
I niemieckie w Szlązku kraje plądruje —
Boć mu przedtem Niemcy Polskę napadli,
I złota mu dużo w kraju nakradli.

Wiedzie wojsko król Łokietek do bitwy,
Ma go siłę z Polskiej ziemi i z Litwy;
Ale Litwin jeszcze wtedy pogański,
Pali nawet i plądruje dóm pański.

Hej, stoi tam stary klasztor na górze,
Siedzą panny zakonnice w klasztorze,
I mocno się heń panienki frasują,
Bo Litwini w okolicy grasują.

Ratuj że ich mocny Boże, hej Boże!
Boć już Litwin zbytki robi w klasztorze,
Pochowały się panienki do sali,
Ależ jedną nieboraczkę złapali.

I zdziwiają się Litwini śród śmiechu,
I panienkę świętą wabią do grzechu,
A ona się nadaremnie im prosi
I od płaczu serdecznego zanosi.

Długo, długo tak prosiła daremnie,
Wreszcie rzeknie: „Idźcie sobie odemnie!
A ja za to dam wam sposób takowy,
Że nie utnie żadna szabla wam głowy,

— „A jeźli mi nie wierzycie, spróbujcie
Na mej szyi, a o mnie się nie bójcie.“ —
— Nie źle mówi — pomyśleli Litwini,
Trza ją puścić, jeźli nam to uczyni.

I wyciągnął jeden szablę jak żmiję
I panienkę zakonnicę tnie w szyję —
Aliści tu krew trysnęła czerwona,
A bez grzechu święta panna już kona.

I skonała, a do nieba jej biała
Po zapłatę wieczną dusza leciała;
A Litwini od takiego cnót wzoru
Strachem zdjęci uciekali z klasztoru. —

Wincenty Srokacz.

Jakim sposobem Mruwiak poszedł po rozum do głowy?

We wsi Makowicach, jeden z gospodarzy Paweł Mruwiak, w młodszych latach swego gospodarstwa, niby to chłopisko pracował, niby nie trwonił, zabiegał, zaskakiwał, z kieliszkiem się nie wdawał; a przecieć u niego grosz za groszem gonił, nigdy z chlebem nie wystarczył do nowego i zawsze na przednowku po uszy się zapożyczył. Jeszcze kiedy we dworze szukał ratunku, było to pół biedy, bo dwór nie zdarł go ani na cenie, ani na prowizyi, tylko policzył uczciwie co przypada, zapisał do książki, i potem co tydzień z zarobku po trochu wytrącał; ale gdy we dworze którego roku było skąpo, i trzeba się było udać do kogo innego, co to choć da, ale tak ściągnie na wszystkiem, i na cenie i na prowizyi, że mało z człeka skóry nie zedrze, wtedy to dopiero wzdychał, skrobał się w głowę Pawlisko, ale trudna rada, wiele ten może co musi. Co rok też było gorzej z Mrówiakami, z dwóch krów pozostała jedna stara, niezdatna do mleka, ni przychowku: szkapinę młodą jak zaczęli zmieniać na starszą, żeby na dopłacie coś zyskać, przyszli wreszcie do szkapy starej, włogawej i ślepej, do niczego nieprzydatnej. Tak samo wyzbyli się gęsi, kur, a długów coraz więcej przybywało. Z wiosny więc, a szczególniej też na początku lata, strasznie cienko bywało z Pawłem, co tydzień to pasa przyciągał, że po świętej Annie zawsze doszedł z nim do ostatniej dziurki. Przytem był miny smutnej, ni gadki, ni śpiewki nikt z niego nie wyciągnął, mówił cicho i jeszcze ciszej odpowiadał, jakby w izbie u chorego; usuwał się każdemu potulnie z drogi, każdemu się skłonił, każdego powitał Boskiem słowem; a kiedy szedł przez błonie, to tak się skulił, tak zgarbił, tak czapczysko zasadził na oczy, że wyglądał jak jaki staruszek.

Za to na jesień zaraz po żniwach, Paweł stawał się innym człowiekiem. Czy czapki czy kapelusza nigdy inaczej nie nosił, tylko przez pół głowy na jednem uchu, rękę trzymał zawsze przy pasie, jakby nie tylko Makowice, ale wszystkie wsie przy-

ległe do niego należały, a na twarzy tyle było wesołości, w ustach tyle śmiechu i różnych rozgadek, że jak szedł przez wieś, to tylko się rozlegało, co tak mówił głośno albo wyśpiewywał. Że zaś dojadku sobie nie żałował, ciągle więc z pasem miał robotę, co mu dolegał, i jak zaczął go od pierwszego z nowego pieczywa popuszczać od dziurki do dziurki, to prawie na Boże Narodzenie doszedł do pierwszej, a w tej mierze go trzymał, póki chleba starczyło. I tak było co rok.

Przytem powiadali ludzie, że był strasznie szczery i niewymowny. Jak też częstował, to choćby koszulę zdjąć, a uczció jak wypada, nikomu zaś, co prosił w kumy albo na wesele, niech Bóg broni, nie wymówił się, i wtedy choćby przyszło przedać ostatnią krowę, to przedał, aby tylko przed ludźmi pokazać się i nie dać się nikomu, choćby największemu bogaczowi zakasować.

Pawłowa była taka sama kubek w kubek jak Paweł, jakby się znaleźli z sobą w korcu maku. Na przednowiu u Pawła rzadka mina, nie weselsza i u Pawłowej; Paweł wzdycha i smuci się, Pawłowa łzy opaską ociera; Paweł przyciąga pasa, Pawłowa robi się coraz smaglejsza, żeby ją w stanie prawie biczem przeciął.

Z nowego zaś Paweł robi się miniasty i Pawłowej w drogę nie wchodź; Paweł popuszcza pasa, Pawłowa zapaski; Paweł pośpiewuje, Pawłowa podryga; Paweł śmieje się i rozprawia, Pawłowa całuje się ze wszystkiemi i tak pytluje językiem, że aż na końcu wsi się oglądają.

Więc ma się rozumieć, że Paweł choć rąk do pracy nie żałował, choć uczciwie jak wypada odrobił pożyczkę i u siebie w gospodarstwie obrobił się wczas i dobrze, jednak jak przyszło oddać zboże pożyczone na przednowku, prowizyą, tu pięć dutków, tam cwancygiera na sól pożoczone, tu znowu na chrzcinach stracić z kilka cwancygierów, na weselu z kilkanaście, to wnet zbiór cały rozleciał się po świecie, że Pawłowie prawie się nie obejrzeli, a tu pusto w stodole. Ale raz w jednym roku, jakoś czwartego po pobraniu się Pawłów, w środku zapust tak wypadło, że już przednowek zajrzał do ich chałupy.

Pawłowa wię strasznie się zafrasowała, co zobaczywszy Paweł, rzekł:

— No, no, nie frasuj się moje dziecko, trochę się zarobi, trochę pożyczy, i załata się to jakoś.

— No, ja wiem —' odpowiedziała żona — jednak tyle było zboża, i gdzie się to podziało? Inni mają mniejszy zbiór, albo całkiem są na wyrobku, a jednak u nich nigdy ni chleba, ni grosza nie brakuje. My przecież pracujemy, staramy się, w gorzałkę się nie wdajemy, a równie się nie możemy biedzie ogonić; człowiek jeżeli się bawi, to poczciwie, z przyjaciółmi, a do karczmy, to przecieć tylko zachodzimy przy jakiej okazyi. Powiedz mi więc, mój kochany, co to znaczy, że nie możemy i nie możemy z biedy się wygramolić?

— Co znaczy? — odrzekł Paweł, wzdychając i podnosząc ramiona — moje dziecko, nie ma szczęścia i juźcić, nam się nic nie szykuje.

— Oj, prawda, prawda, czy to urzeczenie ludzkie, czy co?

— Urzeczenie, moje dziecko, urzeczenie, ale wiesz co? Walkowie prosili nas na wesele, wymówić się jakoś nie wypada, bo by ludzie powiedzieli, że nas nie stać. Wreszcie, moje dziecko, przy naszych frasunkach, to dobrze że się człowiek choć troszkę zabawi.

— Bogać ta nie dobrze — odrzekła na to wzdychając Pawłowa — ale w doma nie ma ani grosza, a ostatnią ćwiartkę zboża zaniosłam do młyna. Na weselu zaś, jakże tu być bez pieniędzy?

— To zróbmy tak, moja Jaguś, sprzedajmy wieprzka, a z pieniędzy co za niego weźmiemy, kupiemy jakiego prosiaka, to sobie pomału znowu z prosiaka wieprzka uchowamy. Będzie więc za co być na weselu, i jeszcze na kupienie żyta na chleb zostanie.

— Dobrze to mój kochany — odrzekła Pawłowa — ale ja tego wieprzka chowałam na krowę, bo nasza wiśniocha straszne chorzysko i nic nie chce dawać mleka; więc jakby się do niej mało wiele dołożyło, to byłaby i krowa.

— To zaraz z wiosny i wiśniochę przedajmy — odrzekł Paweł — a jak kupiemy prosiaka teraz, to przez lato wyrośnie, i jak pieniądze za niego i za wiśniochę złożymy, to będzie i krowa. A widzisz, moje dziecko, wypada być na weselu u Walków, i żyta także na chleb trzeba kupić.

— No, ani gadania, więc wieprzka trzeba na jarmark popędzić.

— A jużcić, a jużcić — odrzekł Paweł — i z tej radości, że sobie tak mądrze poradzili, i będą mieli za co poweselić się, Paweł przekręcił czapki na bakier i przytupnąwszy zaśpiewał przed żoną, jakby przed grajkiem:

Podkóweczką brzdęk,
A pasikiem szczęk!
Oj! Jagusieczko kochana,
Kieby kwiatuszek cacana,
Podkóweczki brzdęk,
A pasiczek szczęk.

Jak Pawłowie uradzili z wieprzkiem, tak też i zrobili. Sprzedali go coś za dziesięć reńskich, z tego dwa stracili na weselu, a za resztę kupili żyta, gęś i prosiaka. Żyto, ma się rozumieć, zjedli i jeszcze się zapożyczyli, gęś wysiedziała im dwanaście gąsiąt, a prosiak rósł jak na dziwo. Cieszyli się więc Pawłowie, bo tego roku przednowek nie tak im dokuczył, jak innych lat, a przytem za gęsi i wieprzka spodziewali się Bóg wie jakich pieniędzy.

Z wiosny więc, że trzeba było grosza na to i na owo, przedali wiśniochę, ale nie od razu, tylko byli coś ze sześć razy na jarmarku, bo zawsze zdawało im się, że mało za nią dają. Wzięte pieniądze Pawłowa schowała do skrzynki, ale choć je dusiła, choć je kryła, co tydzień to ich ubywało, bo w gospodarstwie różne są potrzeby, a przytem brzuch to wielki dokucznik, nic nie pyta, woła o chleb i kwita. Żeby więc do reszty się nie rozeszły, Pawłowie przedali prosiaka, zapożyczyli się na gęsi coś pięć reńskich i z pieniądzmi temi dalej na jarmarki upatrywać krowę. Ale jakoś z kupnem nie zaczęło im się darzyć, jak powiadali, to raz było mało bydła, nie było więc w czem wybrać: to znowu ludzie z krowami bardzo się

drożyli, ale najczęściej nie mogli przyjść do zgody i zwykle o cwancygiera albo dwa, rozchodzili się i znów jechali na jarmark do innego miasteczka.

Przewłóczka jednak po świecie wiele kosztuje, tu kieliszek wódki, tam szklanka piwa, tu bułka, tam kawał kiełbasy, ot! idzie grosz za groszem, a niby nic, niby człowiek żadnego nie robi zbytku. To też Pawłowie choć nie zbytkowali, ale jak objechali sześć razy po jarmarkach, tak i poszło ze trzy reńskie a może i więcej, nie rachując i mitręgi i odrywania się od gospodarstwa.

— A to nieszczęście — mówił Paweł — widzisz Jagna, nie mówiłem, że to urzeczenie? a i wyraźne urzeczenie, bo już trzy razy rozeszliśmy się tylko o dwa cwancygiery, chociesmy się nabili w ręce, że aż mnie dłonie paliły. Jakże więc taki uparty człowiek, żeby dwa cwancygiery nie chciał ustąpić, czyż to nie urzeczenie?

— Jużcić urzeczenie — odrzekła Pawłowa — ale jutro na jarmarku trzeba będzie koniecznie kupić, i już tego cwancygiera albo dwa nałożyć, jak się będą duchem ludzie opierać.

— Nałożyć — mruknął Paweł — nietylko cwancygiera, ale jeszcze nawet grosza nigdzie nie znalazłem, więc łatwiej jemu ustąpić, jak nam nałożyć.

Na drugi owóż dzień, ponieważ do miasta było daleko, więc Pawłowie wybrali się z domu równo ze wschodem słońca.

Bydła było dosyć, więc jak Pawłowie upatrzyli sobie krowę, bardzo podobną do ich starej wiśniochy, zaraz zaczęli koło niej zachodzić, oglądać, wypytywać się, wreszcie targować i już, już mieli dobić targu, bo tylko szło o litkup, kiedy Pawłowa pociągnęła swego za rękaw, i rzekła:

— Paweł! słyszysz, nie nacieraj tak, odejdźwa trochę, to się pokalkuluje i litkup przyjmie na siebie.

Paweł posłuchał, bo każdy mąż, czy w chłopskim czy w pańskim stanie, to choć na żonę czasem fuknie i stuknie, równie robi to, co ona każe. Więc Paweł rzekł:

— Ha! mój gospodarzu, kiedy bowiem w takiej wielkiej summie nie chcecie przyjąć na siebie litkupu, to widać, że mi nie życzycie, więc zostańcie z Bogiem, i wy cieszcie się krową a ja pieniądzmi.

— Owszem, życzę mój gospodarzu, bo wiem co za bydlę przedaje, ale kiedyście tacy uparci i tak się o te kilka groszy ściskacie, to trudno, niewolić was nie będę.

Zaledwie Pawłowie odeszli parę kroków szepcząc coś do siebie, przystąpił do nich jakiś dworski, bo był w kapocie granatowej i z torbą borsuczą przez ramię przewieszoną. Jak go Pawłowie dojrzeli, z wielkiej radości zaśmiali się i zawołali:

— A witajcież kumeczku, witajcie, już rok minął, jakeśmy się z sobą nie widzieli. Jakże się macie, a wasza kobieta czy zdrowa, nasz chrześnik czy się ładno chowa? Dworski powitał się z Pawłami, i zaczęli się z sobą rozgadywać to o tem, to o owem, tak posuwali się coraz dalej i dalej, i wreszcie zaszli do szynku.

Zabrzęczały więc kieliszki, dwie kwaterki wódki tylko się mignęły; Paweł chciał dać trzecią, ale dworski wyprosił się, przyrzekając wracać z nimi i poprawić w karczmie na gościńcu. Wyszli więc na miasto, bo sobie przypomnieli na krowę, ale już jej nie było, że zaś oboje byli dobrze podochoceni, więc fantazyi nie stracili, a Paweł rzekł:

— Mnniejsza z tem, pojutrze wypada jarmark w Jarnikach, to sobie wybiorę nie takiego chyrlaka jak ta, cośmy ją targowali. Idź więc Jaguś na miasto, posprawiaj co wypada, a my z kumeczkiem wypijemy po szklance piwa, bom strasznie pragnący. Chodźmy kumie.

— Chodźmy, chodźmy — odrzekł dworski — a wy kumeczko nie bawcie się długo i wracajcie, bo z jechaniem nie ma się co ociągać, a radbym, żebyście mnie troszkę podwieźli.

— W te pędy, mój kumeczku — odezwała się ochotnie Pawłowa — wnet się sprawię, i zaraz jedziemy.

Zakręciła się więc Pawłowa, nakupiła garnków, kaszy, słoniny, kukiełek dla chrześnicy, bo jakoś przy zawróconej głowie

o ściskaniu grosza na piękne zapomniała, a gdy przechodziła koło sklepów kupiła sobie na dwie zapaski, swemu na koszulę i jeszcze na przekąskę z kumem po wódce, kawał gotowanej i wędzonej wieprzowiny. Takiego bowiem wielkiego przyjaciela wypada przyjąć i uczęstować, myślała sobie Pawłowa, a choć pójdzie na to kilka groszy, to fraszka, bo aby Pan Bóg dał zdrowie to się jeszcze nie jeden reński zarobi. Kum wreszcie zawsze był dla nas szczery, to i nam wypada pokazać, że się ma dla niego przychylność i kumowskie poszanowanie. Kupiłam garnków, bo już na Boga żywego nie miałam w czem gotować, co mi się tak wytłukły: kupiłam kaszy, omasty, na zapaski i na koszulę, to nie ze zbytku, tylko z potrzeby; a choć urwało się coś grosza z pieniędzy na krowę, to tam jakoś zaradzi się temu, a przecieć trudno mrzyć od głodu, albo świecić pomiędzy ludźmi gołemi plecami.

I tak sobie wszystko rozważywszy, Pawłowa weszła do szynku wtedy właśnie, kiedy Paweł śpiewał:

Oj! da da da dana dana,
Oj! Jagusiu, oj! kochana,
Oj! da da da dyna dyna,
Ja parobczak, ty dziewczyna.

Więc Pawłowa nuż w pląsy przed swoim, i wziąwszy, się za spodnicę palcami, zaczęła podrygiwać, wysuwać nogami to w wprawo, to w lewo, przytupywać, a dworski się uśmiechał i pokręcał głową za śpiewaniem.

— Tak, mój kumeczku — odezwała się Pawłowa, gdy tańca zaprzestała — kiedy się zejdą z dobrym przyjacielem, to mi się serce tak weseli, jakby w największej radości. Nuże, kumeczku, wieprzowiny, jedzcie, jedzcie.

— Bóg zapłać — odrzekł dworski już dobrze napiły — wy poczciwi... dobrzy ludzie, to bym dał ostatnią koszulę... ale Kubasowie... ho, ho, to nie tacy...

— Nie mam ja żadnej dla nich przyjaźni.

— Ani ja — mruknął Paweł, i obracając się do szynkarki, zawołał: — Pani, pani! daj-no pani kwaterkę wódki.

— Nie, kumowie, nie — odezwał się dworski — dobra wasza, dobra i moja...to ja każę dać... pani! kwatarkę...

— Nie, nie, mój kumie, i to nasza — odezwali się oboje Pawłowie — i nuż sprzeczać się, nuż molestować, aż wreszcie stanęło na tem, że teraz zapłacą Pawłowie, a na Pohulance w karczmie, przy zjeździe z gościńca na boczną drogę, dworski ich uczęstuje, i każdy ruszy w swoją stronę. Posiedziawszy więc jeszcze w szynku dobry kawał czasu, wyszli nareszcie naprzód Paweł z kumem na dobrze chwiejących się nogach, a za nimi z koszem w ręku Pawłowa, z przekręconą chustką na głowie, i z czerwoną jak burak twarzą.

Dwie szkapy w wozie, bo się Paweł sprzęgał, biedactwa, że strach było na nie spojrzeć, aż zarżały radośnie pomiarkowawszy, że gospodarze ich zabierają się do domu. Podniosły łby, jakby chciały dojrzeć, czy im czasem nie niosą siana, albo jakiej obroczyny, ale poczuwszy, że z gołemi wracają rękoma, kasztan Pawłów kiwnął łbem parę razy, jakby z żalu że prawie o głodzie przestał pół dnia, i o głodzie wracać musi do domu, i ruszył wozem kilka kroków.

— Prru, prru! a przeciać mnie z sobą zabierzcie, bójcie się Boga nie zapominajcie o mnie — zawołał Paweł, myśląc w swojem zapruszeniu głowy, że go kompanija jego odjeżdża. Zobaczywszy jednak, że to same konie ruszyły, podsunął się ku nim, szarpnął uzdami i nuż smagać biczem po łbach, po szyjach, gdzie trafił. Pawłowa tymczasem usadowiła się na pośladku, w nogach postawiła garnki, ponasypywała w nie kaszy, włożyła słoninę i inne pokupowane rzeczy, kuma posadziła koło siebie, a na przodku siadła jakaś kobieta, plecami do Pawła obrócona, który jak się tylko na wóz wgramolił, rypnął batem konie, że aż biedaki stęknęły, i zaczęły się tyrtolić po bruku, rozprawiając z sobą głośno, jakby o sto mil siedziało jedno od drugiego.

Co się dalej z tego zrobiło, opowiem wam w następnym numerze.

Obrona miasteczka Rudnika.

Walek Ostry był sobie gospodarzem koło Jarosławia, nie lubił się upijać, ani bijatyki zaczynać, ani się z nikim swarzyć. Dla sąsiada i drugiego człeka byłby dał z piersi serce swoje, gdyby go można wydobyć i pokrajać. Lubił wiele gadać o wojnie, o królach dawnych, o cudownych obrazach Pana Jezusa i Matki Najświętszej, o dawnych ludziach, co to inaczej żyli i robili, jak my dziś.

Miał Walek w komorze schowany rzezak od pradziadka swego, a o tym rzezaku lubiał najwalniej gadać co święto koło chałupy, gdy się ludziska zeszli i usiedli na kłodach koło domu, albo też na płocie. Otóż wiedział on od ojca swego Jana, a Jan od swego Ojca Jakóba, a Jakób od Antka, co to za historja była z tym rzezakiem. Boć to ze dwieście lat już temu, jak to żelazo wisiało u niego w komorze.

Raz też zeszli się ludzie do Walentego w Niedzielę pod wieczór, i dalejże go nagabywać o jaką historję. Usiadł sobie Ostry na progu od chaty i jął im bajać o rzezaku:

— Oj, dawno to, dawno, kiedy się z naszym królem polskim powadził inny król, ale to jakiś niedobry człek, bo ani się nie spowiadał nigdy, ani na mszy nie bywał, ani nie wierzył w Matkę Boską i we wszystkich Świętych. Ludziska też jego tacy sami byli, a do tego przepadali za gorzałką.

Otóż jak się z sobą coś poprzemawiali ci królowie, zaraz też przyleciał z wojskiem ten król, a zwał się Szwedem, do naszej Polski, i wygrał z początku. Nasz król przegrał, i wyjechał zbierać żołnierzy na wojnę niesłychaną.

— Toć ta może i z naszej wsi pobierali rekruta? — zapytał jeden z parobków, co się przysłuchiwali.

— A jakże! pleć pleciugo! — odparł Walenty — wtedy nie szli tak chłopy na wojnę, jak dziś, wtedy tylko sami panowie z dworów jechali na koniach na wojnę bić się za nas i za cały kraj. Owóż zanim się ci panowie zjechali, to Szwed palił po wsiach kościoły, brał dzwony i lał z nich harmaty, brał

poświęcane kielichy od mszy i robił z nich pieniądze, a chustami kościelnemi nakrywał sobie konie w stajni, i nawet korale i wstążki zdzierał z obrazów Matki Bożej, a krzyż święty deptał nogami.

— A to poganin, niewiara! — zawołali ludzie jak jeden.

— Trafiło się otóż — ciągnął dalej Walenty — że wojsko szwedzkie zalazło przez Wisłę aż do miasteczka Rudnika, co to leży o jakie dwie mile od cudownego miejsca w Leżajsku, na piaskach między lasami. Zaraz też uciekli mieszczanie biedni, bo cóż było począć z takiemi niewiarami i bezbożnikami? Ani to się nie żegnało nigdy, ani czapki nie zdjęło przed męką Pańską, ani nie zmówiło nigdy pacierza świętego, ani nie pochwaliło Pana Jezusa, a szwargotało tak, jak wróble na wierzbie, kiedy się wieczór robi. Rozlecieli się biedni mieszczanie po lasach, pochowali żony i dzieci po gęstwinach, a sami pobiegli do wszystkich wsi na około prosić o pomoc i pożywienie dla dzieci, co w jednej koszuli po lasach siedziały. A jakże tu nie ratować ludzi, i kościoła Bożego, i miasteczka? Wszak Pan Jezus każe, aby jeden drugiego w każdej biedzie poratował. I grzech ma śmiertelny, kto nie poratuje bliźniego!

— A już-ci; szczera prawda, jak Bóg na niebie — przerwał sąsiad Walentego, stary już gospodarz.

Walenty odsapnął i bajał dalej:

— Jeden śmiały mieszczanin Jan Korba, pobieżał duchem aż do Rzeszowa; a drugi Sobek Znajacz, zaleciał aż pod Jarosław, a wszędzie płakali i wołali gwałtu, wszędzie płakali i na Boga zaklinali, aby ludzie poszli na ratunek. Otóż pradziadek mój Antoni słyszeli te krzyki, widzieli łzy tego mieszczanina z Rudnika; i wezwali sami całą wieś, aby co kto miał w chałupie, brał i leciał ratować miasto od Szweda. I poszli wszyscy Rusini od Jarosławia z siekierami, cepami, i z czem kto miał, a zabierali ludzi jeszcze po drodze. W Leżajsku wyspowiadali się, leżeli krzyżem przed cudownym obrazem i zalecieli drugiego dnia do owych lasów, gdzie siedziały ukryte żony i dzieci mieszczańskie. Przodem szedł zawsze Antoni, boć był pierwszy na wsi i do tańca i do różańca. A trzymali pradziadek w ręce rzezak nowy, co go kupili w Jarosławiu. Od Rzeszowa przy-

biegli znowu Mazury z drągami i pałkami, i było ich tam jakby wojsko jakie. Wszyscy razem uklękli w lesie, złożyli ręce i zmówili pacierz do Matki Najświętszej, a wezwawszy pomocy św. Antoniego, poszli bić Szweda, co sobie leżał spokojnie podpity i obżarty, bo lubiał jeść kaszę ze skwarkami.

— Toć to pewnie ztąd nazywają ludzie *szwedami* skwarki ze słoniny — zawołał jeden z parobków.

— A już-ci że ztąd — odrzekł Walenty i opowiadał dalej:

— Kto zaczyna z Krzyżem świętym i idzie coś dobrego zrobić, temu Bóg błogosławi! Otóż Rusini i Mazury wypędzili Szweda hultaja aż po za San i Wisłę, uratowali kościół rudnicki, uratowali miasto, posprowadzali z lasów biedne matki z dziećmi do domów, pozganiali bydełko do obory i pozostali kilka dni w Rudniku, bo myśleli, że się Szwedy wrócą. Co tam było dziękowania od mieszczanów, to i trudno opowiedzieć. Kapłan przeżegnał ich krzyżem świętym i pokropił wodą na drogę; a owo nasi nie wzięli nic za to, ani szeląga ani włoska, bo woleli mieć zapłatę u Pana Jezusa za tak dobry uczynek. Zginął tam nie jeden chłop, ale dusza jego u Boga za to. A Antoni wrócili ślepi na jedno oko do domu, i przynieśli rzezak, którym przecinali Szwedów, jak głąbie kapuściane. Zawiesił on go w komorze, toć i ja go trzymam i opowiadam wam to, co on moim ojcom opowiadał.

Skończył Walenty i spojrzał po niebie, bo się coś chmurzyło.

— Hej, hej, miły Boże, inne to były czasy, a ludzie tęższi od nas — podumał sąsiad Walentego. — Skoro ich wróg przysiadł a bruździł po naszej ziemi, to go duchem wyrznęli i wyrzucili za granicę, że aż buty pogubił, kiedy padło uciekać.

— Oj, inne, inne, a teraz co? — ot kiepsko! — mruknął Walenty, machnął ręką i powstał z progu.

— Toć i my byśmy tak potrafili — odezwali się parobcy. — Aleć bądźcie zdrowi Walenty, bo coś deszczyk pokrapuje, a dobry na kapustę. Dziękujemy za historję.

— Zostańcie z Bogiem! — pożegnał Walenty, i poszedł do izby dumać o lepszych czasach.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

RÓŻNOŚCI.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nie potrzeba wam mówić, jak to jest źle stawać pod wysokiemi drzewami podczas burzy, kiedy grzmi na niebie, niby to chroniąc się przed deszczem. Już ci lepiej jest zmoknąć do nitki, niźli szukać samochcąc nieszczęścia, żeby piorun człowieka na miejscu trupem położył. A owo nie dobrze jest także nieść w czasie burzy kosy, sierpy, albo też inne żelaziwo przy sobie, bo to ściąga pioruny. Aleć ludzie jedni albo nie wiedzą o tych przestrogach, a inni nie dbają na to, mówiąc: Co mi tam będzie!

Jak to źle nie zważać na dobre rady, niech was nauczy ten wypadek, co się przytrafił tego lata nie u nas wprawdzie, ale zawsze na polskiej ziemi, choć za Wisłą:

Owoż zerwała się wielka burza, tak, że żniwiarze, co robili w polu, musieli duchem uciekać. Deszcz lał jak z cebra, grzmiało straszliwie, a nawet słychać było, jak pioruny biły stronami. Kiedy żniwiarze odbieżeli wszystkiego na zagonach, tak-ci jedna dziewucha zabrała kilkanaście sierpów na siebie, i ucieka także za innemi. Dziedzic tej wsi, co był wtedy konno w polu, ujrzał ją z daleka, a bojąc się jakowego nieszczęścia, wołał, żeby sierpy rzuciła, albo też okryła płachtą, czy fartuchem. Dziewucha czy nie zrozumiała, czy nie dosłyszała, to nie wiadomo; dosyć że nie rzuciła sierpów, jeno biegnie dalej. Dziedzic przyspieszył konia, żeby ją raz jeszcze ostrzedz, aleć już było za późno. Właśnie kiedy dojeżdżał, uderzył piorun w sierpy, dziewuchę zabił na miejscu, a tych co szli z nią razem, ogłuszył i powalił na ziemię.

Widzicie z tego, jak trzeba baczyć na siebie w każdej chwili, bo człowieka i na gładkiej drodze nieszczęście spotkać może. Dobrze to mówi stara gadka: *Strzeżonego Pan Bóg strzeże.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

Żyj, żyj i przy roli
Według Boskiej woli;
Żyjąc zaś przy glebie, jakbyś chciał żyć w niebie,
Będziesz i w potrzebie, jeszcze wciąż przy chlebie.

Do chleba i nieba, sta cnót człeku trzeba.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**